

Nie tylko dachy

Rozmowa z Przemysławem Spychem, autorem wielu artykułów do miesięcznika DACHY, szkoleniowcem firmy Monier Braas, podróżnikiem i fotografem. W styczniu br. P. Spych wydał książkę pt. „Wyobraź sobie...”.

DACHY: W branży dachowej działasz od dawna. Jesteś wprawdzie inżynierem, ale mechanikiem, a nie budowlancem. Skąd te dachy u Ciebie?

Przemysław Spych: Dobre pytanie. Chyba w 1991 roku pomalowałem pierwszy dach. Po trzecim roku studiów otworzyłem działalność gospodarczą z moim przyjacielem. Prace na wysokościach i oczywiście malowanie dachów. W naturalny sposób pojawiły się też zlecenia „napraw”. O dekarstwie nie miałem wówczas większego pojęcia. A to były czasy, kiedy tak zwany fachowiec plecami zasłaniał swoją pracę, aby czasem ktoś nie podpatrzył, jak to czy tamto się robi. Spotkałem też jednak ludzi życzliwych,

którzy mi parę rzeczy pokazali. Rozstał się ze współnikiem, ja jakiś czas po studiach do wykonawstwa dołożyłem handel materiałami pokryciowymi i do tej pory „robię w dachach”.

Co dały Ci lata prowadzenia własnej firmy? Nie tylko „dachowej”, bo miałeś też kontakt z zupełnie odmienną branżą...

Prawdę powiedziawszy, nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie, bo w zasadzie nie wiem, jak to jest nie pracować w biznesie. Zanim związałem się z Braasem, ponad 15 lat pracowałem na własny rachunek. Ale na chwilę zdradziłem branżę dachową: pod koniec lat dziewięćdziesią-

tych wygrałem konkurs na stanowisko prezesa zarządu w pewnym młynie. Trzeba było się nauczyć wielu nowych rzeczy, zwłaszcza dotyczących finansów i parametrów pszenicy. Równolegle zajmowałem się wtedy i dachami, i mieleniem mąki. Mało spałem. Co daje człowiekowi doświadczenie biznesowe? Spotykasz wielu ludzi. Jedni są przyzwoici, inni nie. Z jednymi biznes to przyjemność, z innymi sprawę wygrasz w sądzie. Ale myślę, że biznes aby wyszedł, przede wszystkim wymaga, a nie daje. Wymaga masy pracy, wymaga dążenia do osiągnięcia małego i dużego celu, wymaga konsekwencji, upor, podejmowania decyzji. A co daje? Jak się napracujesz i masz z tego coś, to

daje satysfakcję dobrze wykonanej roboty i ewentualną możliwość realizowania się na innych płaszczyznach.

Np. w fotografii. Skąd się to u Ciebie wzięło?

Chyba z domu. Tata miał aparat dalmierzowy „Kiev”, z oddzielnym światłomierzem. Ten światłomierz to była dla mnie wtedy wielka zagadka. Nie rozumiałem nic z tego, co pokazywał. Jakoś w szkole średniej zacząłem robić pierwsze zdjęcia. W dzieciństwie mama dała mi album z czarno-białymi fotografiami, który uwielbiałem oglądać i wyobrażać sobie, kto na nich jest.

Masz ulubiony motyw czy obiekt? Twoje zdjęcia łączy jedna rzecz: pokazują, że można się na chwilę zatrzymać, zapatrzyć, zamyślić. Nie każdego stać dzisiaj na taki luksus.

Fotografuję ludzi. I ich dzieła. Jeśli są przedmioty, to za nimi jest człowiek. Jeśli jest człowiek, to obok jest jego dzieło. Mam kilka obiektywów. Ale moje ulubione to szerokokątny 17–35 mm wymuszający bardzo bliski kontakt z człowiekiem lub przedmiotem oraz 70–200 mm, dający z kolei możliwość wyłowienia detalu, wyszukania pojedynczego elementu, samemu pozostając w pewnym oddaleniu. Ten drugi obiektyw uwielbiam i on jest na stałe przypięty do aparatu. A zatrzymanie się i przyglądanie się światu przez „długi obiektyw” to nie jest luksus, tylko cecha. Masz to, albo nie masz. Mama nauczyła mnie patrzenia na wszystko przez szkło powiększające. Zdejmowała mi „różowe okulary”, za co jestem jej bardzo wdzięczny. Lubię usiąść w kawiarence na rynku w Krakowie, Sandomierzu czy w Gdańsku i patrzeć na ludzi. Tę samą frajdę mam siedząc w górach na kamieniu i patrząc na szybujące kruki albo na brzegu jeziora patrząc na ptaki wodne. Siedzisz sobie bez celu, ale nie bez sensu i dochodzisz do wniosku, że przeminięsz i że masz ograniczoną ilość czasu. Czyli szkoda go marnować.

Czy to właśnie z tego zadumania wziął się pomysł na książkę?

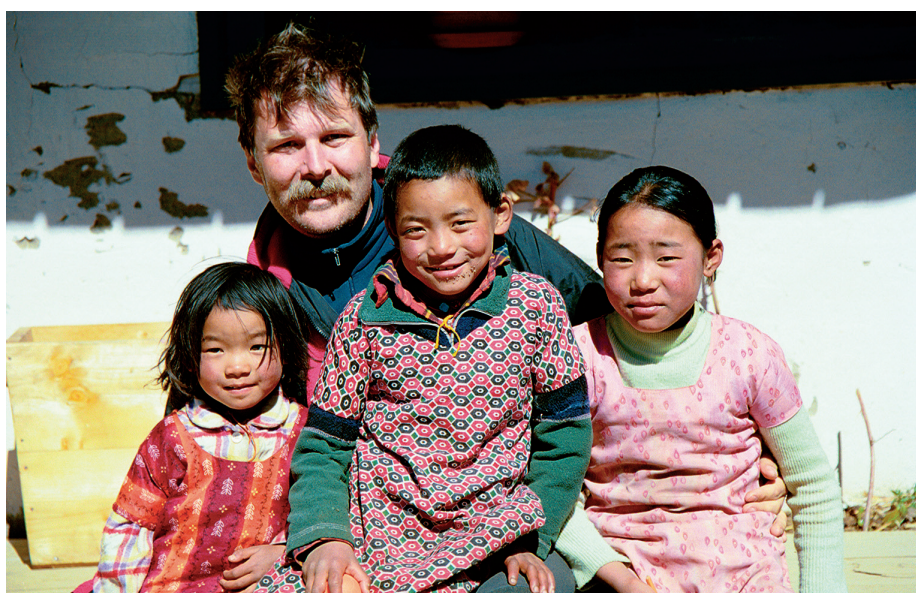
Pierwsza przemyślna do napisania książki miała miejsce, gdy miałem jakieś 9 lat. Na szesnastokartkowym zeszytce napi-

sałem tytuł: „Książka”. Siedziałem ponoć nad tym zeszytem i zastanawiałem się, co by tu napisać. Pamiętam jednak, że miała to być książka o wampirach. Ale chyba jest w życiu człowieka tak, że to co robisz w dzieciństwie, potem ma jakieś odzwierciedlenie w dorosłym życiu. Ta książka jest oczywiście efektem przyglądania się światu i ludziom. Wspólnym mianownikiem są w niej bardzo znane czasem fotografie, które zrobiły na mnie wrażenie. Patrę na nie tak, jakbym patrzył na to, co jest obok mnie. No i jeśli przyjdzie ci coś do głowy, to może war-

wymyśliłem. Zresztą stosowna dedykacja znajduje się w książce. Kto chce, może sam się przekonać.

Skąd czerpiesz inspiracje do fotografii i tekstów?

Z życia. Moje eseje to nie fantasy, a realne, czasem bolesne i brutalne sfery naszej egzystencji. Czasem spotkasz kogoś, kto coś ci opowie, kto coś ci pokaże, kto coś ci podaruje. Za tymi chwilami i gestami stoją przecież całe historie do opowiedzenia oraz ludzie i ich dzieła do sfotografowania.



to czasem jakoś wydobyć to z środka na zewnątrz.

Od dawna też zamieszczasz podobne teksty na swojej stronie internetowej www.pspych.com. Co chcesz przekazać poprzez swoje pisanie?

Tutaj właśnie nawiązałem do pędzenia. Od czasu do czasu dostanę mail od kogoś, kto odwiedził moją stronę. I zdarzają się komentarze, że jak ktoś coś przeczyta albo obejrzy jakiś cykl fotografii, to ma wrażenie, że zwolnił. Oczywiście strona autorska, książka, wystawa prac jest spełnieniem jakichś ambicji, pokazania swojego punktu widzenia, ale wymaga też odwagi poddania się krytyce. Na stronie część tekstów opisuje jakieś miejsca czy wydarzenia w formie reportażu. Część to eseje, które znalazły się w tej książce. Eseje te mają konkretnych odbiorców, których sobie

No i są jeszcze prace w drewnie. W Zakopanem miałeś wystawę. Na stronie autorskiej można część obejrzeć.

Pojawiły się nawet propozycje kupna kilku prac. (Śmiech). Tylko że nie umiem ich wycenić. Bo jak wycenić starą deskę z zarzewiałym gwoździem i pokraczny nadpróchniały patyk? Coś do czegoś dodam, tu i ówdzie użyję dłuta, gdzieś nawiercę otwór – ot, i cała filozofia. Ludzie to potem oglądają, a niektórzy, jak się okazuje, są gotowi na to wydać jakieś pieniądze. Miło jest przeczytać w księdze pamiątkowej z wystawy wpisy ludzi, którym spodobał się mój punkt widzenia na pewne sprawy.

Pracujesz w branży dachowej. Ale dachy to zagadnienia raczej techniczne, słabo związane z kreatywnością w sensie artystycznym. Czy też myłę się?

BRANŻA

Zwróćmy uwagę, że to właśnie dachy kształtują krajobraz. Robota rzemieślnika może albo dodać budynkowi uroku, albo doprowadzić do całkowitej katastrofy estetycznej. Widzi się dachy zrobione ze smakiem i takie, które wołają o pomstę do nieba. Połowa Zakopanego, gdzie mieszkałem przez kilka lat, woła o pomstę do nieba, jeśli chodzi o dachy. Moim zdaniem w rzemiośle dekar skim jest element artystyczny. W końcu na dachach lupkowych spotyka się ozdobne motywy czy wręcz całe scenki rodzajowe. To też wymaga artyzmu. Po drugie, kreatywność w rzemiośle dekar skim to po prostu codzienność. Jeśli nie będziesz kreatywny, nie dasz sobie rady z wieloma zagadnieniami.

Prowadzisz też szkolenia. Robisz to, bo to należy do Twoich firmowych obowiązków czy też sam uznajesz, że masz coś do przekazania i że umiesz to robić?

Po pierwsze, jednym z podstawowych powodów, dla których pracuję w Braasie, są właśnie szkolenia. Ja lubię ludzi, lubię ich słuchać, rozmawiać z nimi. Nie wyobrażam sobie kogoś, kto ma prowadzić szkolenia albo mieć aktywny kontakt z ludźmi i ich się boi. Po drugie, rzeczywiście mam doświadczenie rzemieślnicze, co w naturalny sposób pozwala mi na swobodny dialog z uczestnikami szkoleń. Ale bardzo często się zdarza, że mam na szkoleniach dekarzy, którzy opanowali rzemiosło o niebo lepiej ode mnie. Mają swoje przemyślenia, własne sposoby na pewne detale. Nie jest tak, że

szkoleniowiec, trener ma oświecić swoich kursantów wiedzą i czekać na oklaski. Szkoleniowiec ma pomóc ułożyć każdemu „jego puzzle” w jakąś całość i może dodać kilka nowych, uzupełnić brakujące miejsca. Oczywiście, że są problemy, które wymagają wyjaśnień, są nowością dla uczestników czy wymagają skorygowania, odpowiedzi. Ludzie wiele wiedzą, ale czasem nie zdają sobie z tego sprawy. Pamiętam, jak po pierwszym roku studiów miałem egzamin z metaloznawstwa. Podręcznik liczył sobie osiemset stron. Masakra. Na egzaminie dostałem trzecie, ostatnie pytanie: co wiem o stopach łożyskowych. Poddaję się, nie pamiętam, za dużo informacji. Mówię, że nie wiem. A profesor na to, że wiem, tylko nie widzę tego. Podsunął mi jedno pytanie pomocnicze, niby z innej parafii, potem drugie i poprosił o połączenie pewnych faktów. I odpowiedziałem. Po prostu nie wiedziałem, że wiem. Dziś powiedziałbym, że to był właśnie doskonały nauczyciel, szkoleniowiec, trener.

A po trzecie, to frajdę mi sprawia, jak ludzie odkrywają coś nowego, a ja na to patrzę. Lubię to, co robię, ale ta dziedzina jak każde rzemiosło wymaga pracy, rozwijania się i nowych narzędzi. Ja też dostrzegam się w tym zakresie. Powoli uczyniam umieć to robić, włączać światło tam, gdzie jest go trochę za mało i część rzeczy skrywa się w cieniu.

W twoich tekstach często pojawia się motyw alienacji, rozumianej przez mnie jako unikanie towarzystwa innych ludzi, żeby pobyć samemu, uspo-

koić się, przyglądać się światu i sobie. Jak godzisz to z obowiązkami szkoleniowca, którego praca polega przecież na kontaktach z innymi ludźmi?

Masz rację. Praca szkoleniowca wymaga dość intensywnych kontaktów interpersonalnych. Wymaga uwagi, skupienia, umiejętności reagowania na przeróżne, czasem trudne sytuacje. To w sumie dość wyczerpujące zajęcie. Ale jeśli chcesz przemyśleć jakieś zagadnienie, albo zastanowić się jak wybrnąć następnym razem z jakiejś trudnej sytuacji, to wymaga to czasu i skupienia. A wydaje mi się, że najlepiej się myśli w „nierozproszeniu”, czyli w samotności. Czasem w fotelu, czasem pod drzewem w lesie, czasem na wycieczce w górach. W dodatku jestem typem samotnika. Najchętniej zbudowałbym dom w górach w głębokim lesie i po zakupy jeździłbym raz na dwa tygodnie. Generalnie najlepiej pracuje mi się w samotności, lubię wtedy brać odpowiedzialność za to co robię

Kłóci się to trochę z lubieniem ludzi.

Nie sędzę. Po prostu najbardziej lubię spotkania kameralne. Wtedy można rozmawiać godzinami. Bo gdy w jednym miejscu spotyka się kilkanaście osób, to pojawiają się naturalne procesy grupowe i zaraz mamy „prężenie klaty”, „pudrowanie nosa” i nasłuchiwanie czy, ktoś coś o nas powie. Nie ma wtedy mowy o prawdziwej rozmowie.

Życzę Ci więc jak najwięcej takich kameralnych spotkań – żeby inspirowały Cię do kolejnych zdjęć i tekstów. ▲